

## Jan Maciejewski: Idy marcowe

Nazwa tego miesiąca bierze się od rzymskiego boga wojny, Marsa. Nie tylko ogrodników marzec wzywa do działania, polityków również. A wojna jest przecież tylko przedłużeniem ich rzemiosła. Władcy również chcą zasiać nasiona swoich działań, w kolejnych miesiącach obserwować, jak wyrasta z nich nowy porządek lub chaos. 15 dzień tego miesiąca to idy marcowe, dzień zabójstwa Juliusza Cezara – pisze Jan Maciejewski.

*Twój kij i Twoja laską  
Są tym, co mnie pociesza.  
Stół dla mnie zastawiasz  
Wobec mych przeciwników.  
Namaszczasz mi głowę olejkiem  
A mój kielich jest przeobfity*

*Psalm 23, Dawidowy*

Marzec to miesiąc siania. Wzywa więc do pracy, pobudki z zimowego skostnienia. Ziemia zaczyna być powoli gotowa do działania. Choć to jeszcze przecież nie jest prawdziwa wiosna – drzewa wciąż nie wypuściły liści, gleba jest rankami twarda jak kamień. Są miesiące, które prowadzą ogrodnika za rękę – których pogoda, aura jest wystarczającą wiadomością, poleceniem, jakiemu wystarczy być

posłusznym. Marzec jest inny, musimy być od niego mądrzejsi. W tej części tańca człowieka z naturą to my prowadzimy. Zapewne dlatego właśnie w tym miesiącu zwykliśmy mylić kroki, gubić rytm. Marzec jest bardzo ludzki.

Palladiusz, po tym jak już wymienił nasiona wszystkich roślin, jakie należy zasiać w tym miesiącu dodaje „i miej w Bogu nadzieję, że wszystko wzrośnie”. Kto nigdy nie posiał nawet rzeżuchy na okiennym parapecie ten nie pojmie nic z gorliwości tej końcowej inwokacji. I z wiary, jaką bezpowrotnie utraciliśmy przenosząc się ze wsi do miast. Poczucia zależności od Stwórcy, najsilniej odczuwanego właśnie wtedy, kiedy sami próbujemy stworzyć coś tak niepozornego jak warzywną grządkę. Od kiedy tylko powstają pierwsze klasztory, tuż obok nich zaczynają wyrastać ogrody. Miały karmić ciała mnichów, ale nie to było najważniejsze. Uczyły pokory, cierpliwości, wytrwałości, otwartości na łaskę. Zstępuje ona do duszy w podobnym tempie do tego, z jakim pędy rośliny wychodzą z ziemi. Tak samo niezastężenie. Tyle samo monotonnych, pozornie jałowych czynności trzeba wykonać, by otworzyć drzwi, przez które ona sama musi wkroczyć. Odmówionych jutrzni i komplet, okopanych grządek i delikatnych pędów osłoniętych przed mrozem. Czujności w walce z pokusami i chwastami. Walce ze Złym, który krąży jak lew ryczący szukając kogo by pożreć. Albo kracze jak gawrony i sroki, sadzące się na świeżo zasiane nasiona i pierwsze owoce naszych trudów. Ogród to nie zajęcie dla pięknoduchów. Walka duchowa to nie czas na sentymenty. Tusser radzi – sam już nie wiem, czy a propos tego pierwszego czy tej drugiej: „Zabijaj wrony, sroki i kawki, gawrony, myszołowy i kruki, albo przynajmniej je przeganiaj. Wspinając się do młodych, żeby skręcić im kark, uważaj, jak stąpasz, żebyś nie złamał własnego”.

Nazwa tego miesiąca bierze się od rzymskiego boga wojny, Marsa. Nie tylko ogrodników marzec wzywa do działania, polityków również. A wojna jest przecież tylko przedłużeniem ich rzemiosła. Władcy również chcą zasiać nasiona swoich działań, w kolejnych miesiącach obserwować, jak wyrasta z nich nowy porządek lub chaos. 15 dzień tego miesiąca to idy marcowe, dzień zabójstwa Juliusza Cezara. Ziarno jego ciała obumarło i wydało plon w postaci imienia, które od tamtej pory jest marzeniem każdego władcy. Szczytem wszystkich ambicji. Ten sam dzień był świętem Rei, greckiej bogini ziemi. Spiskowcy byli po prostu posłuszni starożytnym poradnikom ogrodniczym, które zalecały rzucanie do ziemi ziarna właśnie piętnastego dnia miesiąca.

Tym co różni władców – a przynajmniej ich przygniatającą większość – od ogrodników, jest fakt, że ci pierwsi są z natury niecierpliwi. Nie zwykli oczekiwać na łaskę. To siebie uważają za jej depozytariuszy, właścicieli prawa do niej. Są panami ziemi, na której rządzą. Mnisi natomiast – sługami Tego, Który ją stworzył. Energia polityka wyczerpuje się w jego działaniu. Siły mnicha odnawiają się w czekaniu i milczeniu. To dlatego naszą cywilizację podtrzymują ci ostatni. Władcy – statystycznie rzecz biorąc - zwykli ją raczej niszczyć. Zawsze wtedy, gdy zapominają, że nie mieliby żadnej władzy, gdyby nie dano im jej z góry.

Marzec opowiada historię o Saulu, który choć zasiadał jeszcze na tronie, nie był już królem. O tym, który utracił łaskę, bo sam chciał nią rozporządzać. Został zastąpiony przez Dawida, pasącego chwile wcześniej owce. Zielone wzgórza górują nad pałacami. Saul bał się Dawida, bo Pan był z nim, a od Saula odstąpił.

Bał się, a jednak go potrzebował. Jest coś, czego nawet władcy chcą bardziej od siły i popularności. Nawet ten, który zasiada na tronie, pragnie czasem odpocząć. Głowa – choćby spoczywała na niej korona – nie zniesie panującego w niej szumu i chaosu. Dawid miał nie tylko miłość tłumów i procę, którą powalił Goliata. Nosił też lirę. Może i był prawowitym królem, ale w tej chwili liczył się przede wszystkim fakt, że był muzykiem. W jego przypadku tych dwóch rzeczy nie można od siebie odłączyć. Człowiek, którego boli ząb nie potrafi być kochankiem, pisarzem ani złodziejem. Nie umie być też królem. W tej chwili jego istnienie jest sprowadzone do pulsującego, rozrywającego szczękę bólu. Wszystko inne musi poczekać.

Saula nie bolał tego dnia jeden ząb, ale cała głowa. Coś w niej gniło i wżerało się w świadomość. Nerwy jego sumienia nie poddawały się bez walki, pomnażając tym samym cierpienie. Jego świta odsunęła się na bezpieczną odległość, a on sam zsunął się z tronu i klęczał, ściskając pięściami głowę. Wymierzył sobie policzek. Pomogło. Powtórzył – wciąż działało, ale tym razem już słabiej. Próbował dalej. Nikt nie odważył się do niego zbliżyć, bali się, że ich również zaczną bić. Niesłusznie, na ten rodzaj bezsilnej złości działa jedynie ból zadawany samemu sobie. Nawet jeśli nie dla nich, dla siebie samego wciąż był królem. Nie pokutował, nie prosił o zmiłowanie. Wymierzał karę. Samemu sobie, to prawda, ale jego ciało było być może ostatnim prawdziwym poddanym Saula. Był wobec niego w pełni praw, mógł z nim zrobić co zechciał i korzystał z tej władzy z zaciekłością wschodniego satrapy. Rządził i klęczał. Panował i bił się po twarzy. Skomlał, wydając rozkazy. „Zabił Saul tysiące, a Dawid dziesiątki tysięcy” – śpiew tłumu dobiegał zza okno. Wróg był u bram. Nadchodziło wybawienie.

Irytujący rudzielec słyszał wyraźnie melodię, która dla niego dawno już ucichła. Był posłuszny harmonii, której zasad i reguł Saul nie znał. Bał się tego, który miał zaraz wejść. Bał się też, że może się nie pojawić. Rozmyśli się, albo okaże nieposłuszeństwo i minie drzwi pałacu. Był przestraszony tak bardzo, jak może być tylko uzurpator.

Może potem go zabije, ale niech najpierw zagra. Niech w sali zabrzmie muzyka, a w jego głowie rozlegnie się cisza. Co takiego zrobił, że Pan odwrócił od niego wzrok? Złożył ofiarę, wstąpił w miejsce kapłana. Ale przecież jego władza musiała być pełna. Król nie może klęczeć, kiedy ktoś inny stoi. Jak miał pozostać bezbronny, w chwili, gdy kapłan trzymał w ręce nóż? To byłaby zdrada, zdrada królestwa i jego ludu.

Nie, to lud pierwszy go zdradził. Zaczęli w niego wątpić, uciekli. Minęło siedem dni, a prorok nie nadchodził. Bitwa miała się za chwilę rozpocząć, a ofiara nie została złożona. Bóg milczał, zdrada była blisko. Jeśli nie zrobiłby tego w tamtej chwili, taka okazja mogła się już więcej nie trafić. Kazał rozpalić ogień i przyprowadzić zwierzę. Był królem, był kapłanem.

Prorok pojawił się chwilę później. Saul nie obmył jeszcze noża, ofiara spłonęła do połowy na ołtarzu. Dlaczego nie zaczekał? A dlaczego miałby czekać, to wina proroka, że się spóźnił. Dlaczego król miał zwlekać, narażać swoją władzę z jego powodu? Zresztą, czekał już wystarczająco długo. To wtedy jego widmo, cień i zapach tego, który zaraz miał wejść do komnaty, pojawił się przy nim po raz pierwszy. Prorok powiedział, że nie jest już królem i odszedł poszukać jego następcy. Ale to tylko szaleniectwo w łachmanach. A Saul miał miecz i nóż

w ręce. Był królem, był kapłanem. Poradzi sobie bez proroka. Tylko ten zapach nie dawał mu spokoju. Ostry jak wiatr i włócznia. Świeży jak trawa i niebezpieczny jak kamień nadlatujący z ciemności. Wdychał go zachłannie, brał na własność. Był przecież królem.

Jak zawsze, pierwsze spojrzenie sprawiło, że się uspokoił. Dawid wyglądał tak niegroźnie. W tej chwili pachniał tylko krwią, a ten zapach Saul znał dobrze, nie było w nim nic niepokojącego. Nie patrzyli na siebie jak rywale, raczej jak ludzie, którzy nie widzieli się od tak dawna, że nie wiedzą co mają sobie powiedzieć. Saul wskazał stojącą w rogu lirę. Nie po królewsku, tylko jak słuchacz. W tej chwili byli na pustyni, zmęczeni drogą, zziębnięci w nocy. Siedzieli przy ognisku, a nie w sali tronowej.

Dawid grał chodząc, śpiewał w rytm swoich kroków. Czy to słowa opowiadały o łąkach i strumieniach a muzyka o Bogu i Panu, czy na odwrót? Nie miało to większego znaczenia. Dawid krążył a w sali rozchodził się jego zapach, dziki i niebezpieczny, uwodzący i wzmacniający czujność Saula. Tak kochać może tylko ten, którego uczucie jest odwzajemnione. To była pieśń uwielbienia i przychylności. Hymn spełnionej miłości. Drzewa rozkwiatały, góry i doliny Izraela wkraczały w pełni swojej chwały do pogrążonego w zaduchu pałacu Saula. Jedne czary traciły swą moc, inne zaczynały działać w ich miejsce. Nie siedzieli już na pustyni, chodzili po ziemi, o której nie można powiedzieć nic więcej poza tym, że jest święta. Dawid prowadził, Saul podążał za nim. Chciał śpiewać razem z nim, ale nie znał słów. A melodia, kiedy już wydawało mu się, że ją zna i jest w stanie podążyć za nią choćby nucąc, zmieniała tor swojego biegu. Wiła się urywanym rytmem wśród dolin rozkwitającego królestwa. A ono nie należało już do niego.

Właś w moje serce więcej radości niż w czasie obfitego plonu pszenicy i młodego wina. Gdy się położę zasypiam spokojnie, bo Ty sam jeden, Panie, pozwalasz mi mieszkać bezpiecznie.

To nie były jego słowa. W głowie Saula panowała upragniona cisza, ale spokój – w całych swoich dumie i bogactwie – przechadzał się przed nim. Spojrzał na pozostałych, oni również zdawali sobie sprawę z tego, co właśnie działo się na ich oczach. Ich twarze ubrały w słowa, pierwsze słowa, jakie od dłuższej chwili pojawiły się w jego myślach i należały tylko do niego, tę chwilę. Jej znaczenie rozbłysło dla niego z siłą kolejnej fali migreny. Ukojenie udręczonego króla zmieniło się w ceremonię, przekazanie władzy. Dawid jej nie brał – to byłoby jeszcze do zniesienia, można by nazwać jego czyn zdradą. A on tylko nieopacznie, mimowolnie zdał sprawę z tego, że jest prawdziwym królem. I chodził, krążył śpiewając wokół nich, przyjmując złożoną z ich milczenia cześć należną władcy.

Trzeba było go powstrzymać, niech się wreszcie zatrzyma, przestanie krążyć i mącić. Saul wyrwał włócznię z rąk stojącego obok strażnika i cisnął nią w kierunku Dawida. Chybił.

Jego cel przestał śpiewać, ale wciąż się poruszał. Pieśń unosiła się w rytm jego kroków – teraz szybszych, ale ciągle tak samo harmonijnych. Stopy stawały za każdym razem we właściwych miejscach. Dawid nie uciekał, tańczył. Saul kazał sobie podać kolejną włócznię, kiedy nikt nie posłuchał rozkazu podbiegł i sam wyrwał ją z rąk drugiego strażnika. Krążyli teraz wokół sali tronowej. Stary myśliwy i młode zwierzę.

Nie mógł już czekać dłużej, jeżeli to potrwa jeszcze chwilę nie będzie miał siły na rzut. Jego lud go opuszczał, a prorok był daleko. Namaszczał rudą głowę pasterza owiec. Jeszcze podnosząc włócznie, czuł, że chybi. Bo wiedział – jakby ostatnim strzępem świadomości władcy, ostatnią kroplą nieaktualnego już namaszczenia – że nie wolno mu trafić. Będzie go ścigał, ale nie dogoni. Będzie szukał, nie znajdzie.

Opadł na kolana. Był zmęczony. Był Saulem.

*Jan Maciejewski*

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.*



Ministerstwo  
**Kultury**  
i Dziedzictwa  
Narodowego